



Z NUDÓW SPRÓBOWAŁEM
POLICZYĆ SOBIE CZEONKI
NIE RUSZAJĄC GŁOWĄ.

DWIE LEWE NOGI
TRZYMAŁEM ZA
OKNEM, ŻEBY NIE
TRACIĆ KONTROLI
NAD ŚWIATEM.

PRAWYMI NOGAMI
TRZĄCHAŁEM, ŻEBY
GŁUPIE ZAJĄCE
NIE PODGRZYZAŁY.



LEWE RĘCE WYCIĄGAŁEM, ABY ZATRZY-
MAC KOŁO JEŚLI ZNOWU SIĘ PRZETOCZY.

PRAWYMI RĘKOMA, BÓG WIE CZEMU,
PRÓBOWAŁEM DOTKNĄĆ KWADRATU.*

* BÓG NIE WIE CZEMU. - PRZYP. B.



I TYLKO CZEONEK-CZEONEK
NIE ZACHOWYWAŁ SIĘ TAK
JAKBY BYŁ DO GÓRY
NOGAMI.

WIĘC BYŁE
KOŃCZYNY
PO DWIE,
A CZEONEK
JAK ZWYKLE
SAMOTNY.

(i TO JAKIŚ DZIWNY...)



Nowy Teatr

**MIEJSKA
POWIEŚĆ
ODCINKOWA**

23 marca 2009
Warszawa-Kraków-
Bytom-Wrocław-
Poznań

IGNACY KARPOWICZ
Odcinek numer

11

MPO

Miejska Powieść Odcinkowa (MPO) to inicjatywa literacka Nowego Teatru w Warszawie, który buduje centrum kulturalne w dawnej bazie Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania na Mokotowie. Wspólnie z Korporacją Ha!art i Kulturą Gniewu będziemy przez dwanaście tygodni dostarczać wam kolejne odcinki horroru miejskiego. Każdy autorstwa innego pisarza. Szukajcie nas w Warszawie, Krakowie, Bytomiu, Wrocławiu i Poznaniu, słuchajcie w Trójce, czytajcie na stronie www.nowyteatr.org

wydawcy:
Nowy Teatr
Korporacja Ha!art

patroni medialni:

korporacja ha!art
wszystko, co się nie opłoca

gazeta

KG
kultura
gniewu

Gazeta.pl

Trójka
radio

EXKLUSIV

Otworzyłem oczy – dwoje na szczęście, bo różnie z tą liczbą bywało. Dzwoniło mi w uchu. Zobaczyłem sufit, przede mną albo nade mną, nie wiedziałem, dzwonienie w uchu zaburzyło pracę błędnika. Błędnik często błędnie mnie informował, zarówno w kwestii mego położenia w przestrzeni, jak i tego w życiu. Prawdopodobnie dlatego nie wiedziałem, czy sufit jest przed, czy nad. Kwestia właściwie po Kancie nieistotna, wiedziałem, że prawa moralnego w sobie nie znajdę. Nawet z niebem byłby spory problem.

Obudziłem się, nie wiedząc, gdzie, kiedy, którą nogą wstanę. Nie wiedziałem nawet, w jakiej wstanę kondycji i konwencji, ani nawet czy w ogóle wstanę. W pierwszych chwilach pamiętałem tylko, że mam na imię Tomasz. Że nigdy nie zapisałem się do partii. Nigdy nie sikałem do zlewu, co mnie lekko zaniepokoiło: może jestem dziewczynką? Tak per analogiam, skoro Maria bywa mężczyzną... Ale nie. Członków pięć. Palców dwadzieścia pięć. Sprawdziłem. Wszystko się zgadza.

Pamiętałem również, że cierpię na nieuleczalne schorzenie: Paradoksalny Problem Płynności Konwencji. Ciągłe budzę się w innej konwencji, mimo że nie pamiętam, bym kiedykolwiek zasypiał. Po prostu ciągle się budzę i budzę. Z tego powodu najczęściej jestem niewyspany. Przypuszczam, że cierpię również na Paradoksalną Bezsensowność, ale lekarzom o tym nie powiedziałem. Niech sami na to wpadną, przecież za to im płacę jako płatnik netto lub brutto, zależy jak liczyć.

Usiadłem na łóżku, opuszczając stopy na podłogę. Sufit zniknął, chyba jednak mieścił się nad, nie przed. Stopy dwie, do pary z oczami, co mnie optymistycznie nastroiło. Zdarzało mi się bowiem budzić z zerową liczbą stóp. Wtedy uwierzyłem, tak na marginesie, że zero jest jednak liczbą naturalną. Zero stóp oznaczało, że konsekwencje poprzedniej konwencji jeszcze nie zanikły, w przeciwieństwie do stóp, niestety. Pewnie uczestniczyłem w konwencji powstańczej, może poderwałem się na minie, wpadałem pod pociąg, walczyłem o imponderabilia, chleb, z Niemcami lub chuj wie.

Wstałem. Coś miauknęło, i to nie sprężyny materaca. Przypomniałem sobie, że mam dwa koty: Dżumę i Cholerę, obie suczki. Dostałem je od Leny. Poznałem ją na oddziale, chyba w psychiatryku na Sobieskiego, z rozpoznaniem: Zespół Jąkającej się Rzeczywistości.

Otworzyłem drzwi, koty wbiegły do pokoju, by – ignorując mnie – wskoczyć na łóżko. Wyjrzałem przez okno. Okazało się, że mieszkam na jakimś dziesiątym piętrze, prawdopodobnie w wieżowcu, może w koszu podwieszonym pod ogromnym balonem. Chociaż obstawiałbym wieżowiec: zauważyłem w kącie ze trzy karaluchy. Balony chyba nie mają zsyków na śmieci. Nie ma zsyku, nie ma karaluchów – jest wieżowiec, ewentualnie sofizmat.

Panorama z okna, ta przede mną albo pode mną, nie pozostawiała żadnych złudzeń: to nie Kraków, choć piwnic i baranów dostatek; to nie Karaiby, choć palma jedna na rondzie de Gaulle'a; nie Azja, mimo że Pekin tkwił na swoim miejscu; czyli znowu Warszawa – anus mundi. Warszawa, jedyny punkt stały mojej przypadłości. Tu rośnie dom, tam grzyb, a dołem Wisła. Autobusy czerwienią migają, drogę tramwajom zajeżdżają. Często się spóźniają, a Pod Papugami jest guano, żaden klub.

Zakręciło mi się w głowie od rymów. Kichnąłem. Mam alergię na rymy. Nawet te białe, na przykład Nargili-Godzieba, powstanie-Wawel. Nienawidzę rymów, zwłaszcza tych białych, co z kolei oznacza, że obudziłem się w konwencji prozatorskiej, trudno. Mogło być gorzej. Kiedyś obudziłem się w konwencji przedapokaliptycznej, chyba na Starym Mieście. Starego Miasta jeszcze nie odbudowano, ludzi dużo,

przemawiał gruby ksiądz, rzucał mięsem o zmartwychpowstaniu i światakońcu, anus mundi, chociaż – chyba – bełkotał po polsku, nie znał łaciny. Nie bełkotał jednak długo: jakaś grupa sympatycznych, modnie odzianych lumpów otworzyła mu czaszkę, by wyjść jej zawartość. Chyba nie najedli się zbytnio. Nie wiem, bo znowu się obudziłem.

Albo: konwencja prowdna. Próbowałem popełnić samobójstwo w wannie. Skończyło się jak zawsze – pijaństwem, lecz bez kaca. Obudziłem się w czas.

Albo: i tak dalej.

Nie dane mi było ciągnąć wspomnień dłużej. W panoramie coś huknęło wysokim słupem ognia i dymu plus fajerwerki. Za Dworcem Centralnym, w okolicach redakcji „Rzeczpospolitej”. Czyżby coś świętowali? Czyżby Ziemkiewicz dostał Nobla? Po Le Clézio nic mnie nie zdziwi.

Wtedy do pokoju wszedł Nargili. Bez ostrzeżenia, żadnego puk-puk, ani czy można, ani dzień dobry, bez kukuryku, po prostu bez sensu. Poznaliśmy się na filologii klasycznej, w konwencji studenckiej, lata temu. Zaprzyjaźniliśmy się, ponieważ na kolokwium napisał „per anum” zamiast „per annum”. Wiem, bo zaglądałem mu przez ramię. Dostałem ataku śmiechu, miało być „rocznie”, a wyszło jak zawsze. Wtedy się obudziłem.

– Co ty tu robisz? – zapytałem zgodnie z konwencją prozatorską.

– To raczej: C o t y t u t e r a z r o b i s z ?!

– Oglądam słup ognia i dymu plus fajerwerki. Ziemkiewicz dostał Nobla.

– Nabijasz mnie w butelkę?

– Jeżeli już, to w fajkę. A zresztą, sam spójrz.

Nargili podszedł do okna, spojrział w panoramę, by powiedzieć:

– Ja pierdołę. Masz rację.

– Mam – odpowiedziałem – ale chciałbym już się obudzić. Obecna konwencja jest nieco zbyt publicystyczna, jak na mój gust.

Mogłem mówić otwarcie. Nargili wiedział, na co cierpię. Sam cierpiał na to samo. Wziąwszy pod uwagę tę chorobową okoliczność, nasza przyjaźń była cudem – tu się zgodzaliśmy. Prawdę mówiąc, nasza choroba rozprzestrzeniła się jak epidemia grypy. Szczepionki brak.

– To dziś jest t e n dzień – powiedział Nargili. – Czuję to.

T e n dzień, to dzień, w którym świat zostanie odnowiony. Wierzyli w to najpierw chrześcijanie, a później wszyscy wariaci. W t e n dzień każdy człowiek obudzi się w innej konwencji, przeszłość wypełźnie zewsząd i dojdzie do wielkiego wybuchu. Świat zostanie odnowiony, na ziemię powróci sens, dobro, humanizm – w sumie to wszystko, co ostatecznie poszło z dymem w Oświęcimiu.

W panoramie doszło do kolejnego wybuchu. Daleko, gdzieś w okolicach Czerskiej. Byłem ciekaw, co redakcja „Wyborczej” świętuje. Na pewno nie Nobla dla Ziemkiewicza.

– Widzisz – wykrzyknął Nargili tak wysokim głosem, że Dżuma i Cholera spojrzały w jego stronę – to się naprawdę dzieje! To naprawdę dziś! Chodźmy na ulicę!

Oczywiście, jak każdy wariat wierzyłem w t e n dzień. Lecz patrząc na panoramę (teraz huknęło na Pradze, chyba redakcja „Faktu”, ogień, dym plus fajerwerki), a następnie na podekscytowanego Nargilego, pomyślałem, że chciałbym już się obudzić, ewentualnie mogę pojechać na ryby albo umyć kotom kuwetę.